



„Kosmogonia” Jarosława Iwaszkiewicza na scenie Teatru Kameralnego w Warszawie. Od lewej: Michał Pawlicki (Seweryn), Janina Romanówna (Rena), Zofia Małynicz (Balladyna), Włodzisław Głiński (Wiktor)
Fot. Fr. Myszkowski

TEATR

KOSMOGONIA

Związki Iwaszkiewicza z teatrem sięgają najwcześniejszej jego młodości. Obok muzyki, która tak wielką rolę odgrywa i w twórczości, i w życiu pisarza, teatr był zawsze jego pasją. Koneser teatru, przyjaciel aktorów i reżyserów, nie często wypowiadał się jednak jako dramaturg. Twórczość dramatyczna nie stanowi głównego nurtu w dorobku wielkiego pisarza.

Swoją ostatnią sztukę, „Kosmogonię”, nazwał autor, nie bez przyczyn zresztą, opowiadaniem w dwóch aktach. Nie dla względów formalnych, „Kosmogonia” ma bowiem zwartą, klasyczną niemal budowę dramatyczną. Chodzi tu o coś innego. Najlepiej będzie odwołać się do słów samego autora, który tak pisze: „Moja sztuka „Kosmogonia” powstała z prawdziwego pomysłu. Mniej więcej przed pół wiekiem napisałem opowiadanie, które nigdy nie było drukowane... to, że po pięćdziesięciu latach powróciłem do tego pomysłu, świadczy o tym, że tkwił on we mnie bardzo głęboko.”

Temat tej sztuki sięga epoki, która jest już historią, sięga modernizmu. O powinowactwach Iwaszkiewicza z modernizmem powszechnie wiadomo, wiadomo też, że od modernizmu odszedł. W „Kosmogonii” natomiast porbrzmiewają echa myśli tego kierunku. Jesteśmy tu świadkami morderstwa dokonanego w imię uratowania wartości estetycznych. To modernisci widzieli piękno w kategoriach absolutu, uznawali piękno za wartość najwyższą, wszystko usprawiedliwiająca. W owych latach „estetyzmu walczącego” każdy czyn popełniony w obronie piękna był rozumiany jako czyn naturalny.

Tak, ale najnowsza sztuka Jarosława Iwaszkiewicza ma jako tło dzień dzisiejszy. Mówi się w niej o tragedii Florencji, o Nowej Hucie, o wojnie w Vietnamie. A my mamy inny stosunek nie tylko do problemu piękna, które przestało być wartością absolutną, mamy także inny stosunek do śmierci. Bardziej ze śmiercią obcy, z masową śmiercią w komorach gazowych i od ognia napalmu, mamy też większy szacunek dla życia niż ludzie „belle epoque”, którym przydarzyło się ginąć na polowaniach, czy pod kołami karety częściej niż z innych powodów. Dlatego też sztuka Iwaszkiewicza, ewokując tezę już przebrzmiałą, budzi coś w rodzaju niepewności.

Czy można usprawiedliwić Seweryna, bohatera „Kosmogonii”? Nie usprawiedliwiał go i autor, nie o to zresztą chodził. Nie można także przyjąć motywów jego działania. Seweryn — młody, niezbyt, zdaje się, udany pisarz, mieszkający ze starą służącą Balladyną w zagubionej gdzieś w kieleckich lasach leśniczówce, zabija swego przyjaciela, by, jak mówi, oddać go wieczną młodością. Chciał, żeby Inio na zawsze pozostał taki jak na portrecie, który kazał namalować, żeby mijające lata nie starzy piękna jego twarzy, nie zniszczyły wdzięku jego młodości. Dał mu jedną ze znalezionych w biurku ojca ampułek jankali. Ojciec, działając konspiracyjnie, nie zdążył ich użyć, Niemcy zabrali go w czasie obchodu lasu. Drugą ampułkę Sewer zużył sam.

Ta zbrodnia popełniona została pod wpływem motywów jak najbardziej „literackich”. Zdawał sobie z tego sprawę Jarosław Iwaszkiewicz, nazywają „Kosmogonię” opowiadaniem w dwóch aktach.

„W sztuce tej — pisze Jarosław Iwaszkiewicz — znajdziemy zresztą motywy, które przewijają się przez całą moją twórczość i są czymś jak gdyby obsesyjnym. Postaci dwóch braci o kontrastownych charakterach czytelnik odnajdzie w wstępie moich utworach, tak jak obsesyjnie mnie przesiadająca postać wielkiej śpiewaczki czy aktorki, dojrzałej i doświadczonej, będącej przedstawicielką mądrości życiowej a jednocześnie nieco skostniałej w swej służbie dla „sztuki”. Nie wątpił więc jest to postać, która fascynowała mnie jeszcze w mojej młodości, a dzisiaj należy już do innej epoki”.

Tęj nocy, kiedy Iwaszkiewicz przenosi nas do leśniczówki, prócz

Seweryna i Balladyny, zaciętej, twardej chłopki, której jedynym marzeniem jest zdobycie tego domu na własność, jest tu Wiktor, brat Seweryna, znany i ceniony architekt. Przyjeżdża także aktorka, Rena Kalinowska, matka zmarłego Inia. Jest to bowiem szósta rocznica śmierci tego chłopca. Z nocnych rozmów wylaniają się skomplikowane powiązania łączące tych czworo. I tu w całej pełni objawia się mistrzostwo wielkiego pisarza. Iwaszkiewicz przedstawił każdego z nich, rysując wyraziste portrety, pokazuje ukryte dramaty, doprowadza do starć różnych postaw wobec życia. Protagonistą estety-mordercy jest Wiktor, któremu jak się wydaje sprzyja sam autor. Oddajmy jeszcze raz głos Iwaszkiewiczowi: „Teza tej sztuki jest bardzo prosta; uprawdzenie życie jest bardzo trudne i skomplikowane, wydaje się, że nie ma ono wiele sensu — ale godność ludzka wymaga od nas podjęcia tego zadania, przetycia czasu, który jest nam dany, jak najgodniej, jak najistotniej. Podejmowanie zadań życiowych jest jedynym wyjściem z bezsensu życia”.

Tak, dobrze, tyle, że Wiktor wyłącznie składa deklaracje, natomiast Sewer, młotając się w swoim estetyzmie, działa, dokonuje wyborów, w końcu ucieka w śmierć. Nie tyle przed życiem, co przed sobą. Sprawę Sewera — nie wiem czy zgodnie z intencją autora — odbiera się dziś jako studium patologii.

Iwaszkiewicz jest świetnym pisarzem i w „Kosmogonii” rozsiastych jest wiele piękności, jedna z nich to celny dialog, którym autor „Panien z Wilka” postępuje się mistrzowsko.

Reżyser „Kosmogonii” w Teatrze Kameralnym, Józef Gruda, wspólnie ze scenografem Stanisławem Bąkowskim, stworzył atmosferę odpowiednią dla mrocznego dramatu, jaki rozegrał się w leśniczówce. Sewera gra Michał Pawlicki. W tej niełatwej roli Pawlicki wykazał się kulturą i wrażliwością. Jego Sewer balansuje na granicy przycimionej świadomości nie przekraczając jej. To nadwrażliwiec, którego ponoszą nerwy i wyobraźnia. Bardzo dobry jest Włodzisław Głiński w roli Wiktor, z siłą i przekonaniem prezentuje jego „pozytywny program”. Zofię Małynicz i Janinę Romanówną zawsze witalny na scenie z prawdziwą radością. Zofia Małynicz pokazała zachłanną, groźną w swym prymitywizmie chłopkę, zwaną Balladyną. A wydawałoby się, że jest to postać nie zupełnie mieszcząca się w naturalnych predyspozycjach tej aktorki. Janina Romanówna gra Renę Kalinowską. Mam wrażenie, że Romanówna wcieliła się w jakiś prawdziwy postać z „Kosmogonii”. Niezym nie przypomnia współczesnej kobiety; w geście, w stroju, w sposobie mówienia jest z Młodej Polski. Można by z Romanówną dyskutować nad celowością tego przeniesienia w czasie, trzeba jej jednak przyznać, że przyjętą przez siebie konwencję realizuje z konsekwencją. Nie trzeba nikomu mówić jak wytrawna to aktorka.